



Bronisława Ostrowska

CÓRKA WODNICY

baśń

Armoryka

Bronisława Ostrowska
CÓRKA WODNICY
baśń

Bronisława Ostrowska

CÓRKA WODNICY

baśń

**Armoryka
SANDOMIERZ 2009**

Redaktor: Władysław Kot
Projekt okładki: Juliusz Susak

Ilustracja na okładce: Claude Monet (1840-1926), Impression, soleil levant, 1872, (*Musee Marmottan, Paris*), (licencja *public domain*),
źródło: http://en.wikipedia.org/wiki/File:Claude_Monet,_Impression,_soleil_levant,_1872.jpg

Copyright © 2009 by Wydawnictwo
i Księgarnia Internetowa ARMORYKA

Wydawnictwo ARMORYKA
ul. Krucza 16
27-600 Sandomierz
tel (0-15) 833 21 41
e-mail: wydawnictwo.armoryka@interia.pl
<http://www.armoryka.strefa.pl/>

ISBN 978-83-7639-011-6

I. KLĄTWA OTOCZY.

W dawnych, bardzo dawnych czasach na szerokim morzu była wyspa.

Wyspa nazywała się Otoczą, iż otaczało ją zewsząd morze, niby ślubny pierścień.

Morze było wszystkim dla wyspy. Nigdy bowiem jej łódź rybacza w najdalszych wędrówkach nie dopłynęła do cudzego wybrzeża, ani też żaden statek z obcej ziemi nie przybił do jej cichych przystani. Nie podejrzewali mieszkańcy istnienia innego lądu; nie znali innego widnokładu prócz zielonobłękitnej oddali morskiej, stykającej się prawie niedostrzeżenie z pogodną kopułą nieba. Życzliwe fale w codziennym odpływie wynosiły na brzegi żyzną sól, wyrzucały muszle bezcenne, perły, korale, a kiedy o zachodzie słońca, z pluskiem wiosel powracały łodzie rybacze do brzegów, to niewody i sieci pełne były wszelakich skarbów morza.

A na wyspie jak szeroka i długa rozlegały się tedy śmiechy, śpiewy i błogosławieństwa.

Ziemi miała Otocza mało.

Wąski tylko pas niskiego wybrzeża rozkwitał zielenią winnic i ogrodów, oraz pastwiskami, kędy się pasły stada śnieżnorunych, długorogich kóz.

Wyżej wyspa szła amfiteatrem, podnoszącym się stopniowo wschodami koralowych skał, aż do spiętrzonego na szczycie królewskiego grodu.

Na stopniach tu i owdzie przy domostwach mieszkańców zieleniły się sady, a wokół królewskiego zamku roztaczał się rozległy ogród pełen przedziwnych roślin, ale największą część wyspy zajmowały owe różowe skały, w których wykute były też mury grodowe, zamek i świątynie.

Nie w ziemi czerpała Otocza bogactwa swoje, ale w morzu, i nie dziw, że wszystko zawdzięczając morzu, jemu też oddawała chwałę i cześć boską.

Nie zasiadł na tronie Otoczy król, który by przedtem w odbicie pełni miesięcznej na pełnym morzu pierścienia ślubnego nie cisnął.

A to na znak wierności żywiołowi wody i księżycowi, co jest jedynym ponad wodę mocarzem, sam tylko drogi morzu znacząc, przypływy jego i odpływy miarkując.

Dopełniał się ten prastary obyczaj na Otoczy przez długie, długie wieki i wyspa rozkwitała szczęściem jako ulubienica morza.

Aż stało się, iż królowi rządzącemu Otoczą narodziło się dziecię przedziwnej piękności.

Dziecię rozwijało się szybko, ku radości matki i dumie ojca, a piękność zdała się w nim rosnać z dniem każdym.

Było tak piękne, że człowiek żaden nie zdołał niczego odmówić jego prośbie, a zwierzęta szły za nim, jak oczarowane, i lizały mu stopy z zachwytem.

Wszyscy ubóstwiali królewicza i zdumiewali się tak jego urodą, że po cichu pomawiano nawet matkę o czary.

A dziecię szczęśliwie dorastało w pachole, aż przyszedł dzień chłopiących jego postrzyżyn.

Z przebiegu tego obrzędu wrócono na Otoczy o przyszłości dziecka, przeto lud cały zebrał się dnia tego na wybrzeżu, gdzie arcykapłan miał postrzyżyn dopełnić.

Kiedy wyprowadzono królewicza z zamku, w białej tylko krótkiej szatce z wełny kóz, bosego i z odkrytą głową, to cały lud wydał okrzyk zachwytu, bo myślał, że małe bożę zstąpiło z ołtarza świątyni.

Za królewiczem postępowali rodzice oraz arcykapłan w pozłocistej szacie, i cały orszak uroczystym krokiem zeszedł ku morskemu brzegowi.

Dzień był słoneczny i morze leżało spokojne, gdy postawiono królewicza tuż nad brzegiem na złomie różowej skały.

A gdy tak stał wysoko nad ludem, ze skrzyżowanymi na piersiach rączkami, to słońce zdało się zazdrościć złota jego włosom, a morze szafiru jego oczom.

Arcykapłan przystąpił dla dopełnienia obrzędu i złotymi nożycami obciął jego bujne, nietknięte dotąd ostrzem kędziory; po czym uroczystym ruchem rzucił je na morze.

Zabłysły w słońcu jak drogocenny klejnot, lecz nie poleciały z wiatrem ponad wodę, tylko wnet zapadły w spokojną głębinę, jakby pociągnął je niewidzialny ciężar.

A cały lud podniósł wielki okrzyk radości, bowiem poczytano to za szczęśliwą wróżbę.

Od tego dnia postrzyżyn upłynęło lat kilka, a królewicz z pacholęcia wyrósł już w młodzieńca.

I stary król zapragnął jeszcze przed śmiercią obaczyć syna swego na tronie. Aby ucieszyć serce ładem jego rządów, i złożyć wcześniej z ramion ciężar królewskiego berła.

Ogłosił tedy wolę swą wobec syna i ludu, — i oto nadszedł w życiu królewicza wielki dzień drugiego obrzędu, — dzień zaślubin królewskich z morzem.

Była noc pełni miesięcznej, i czerwony okrąg księżycy powstawał z daleka nad morzem, które marszczyło się zaledwie lekką, fosforycznie iskrzącą łuską.

U brzegu barka, kształt złotego gryfa mająca, zdawała rwać się niecierpliwie do lotu.

Królewicz rodzicom najpierw się do nóg pokłonił, potem ludowi rzucił pozdrowienie, i, przyjąwszy sygnet z rąk arcykapłańskich, dumnym ruchem do złotej łodzi wskoczył.

Jak chybka mewa ruszyła od brzegu barka, żegnana błogosławieństwem rzesz, i szybowała pewnym lotem po głębi.

A tam, gdzie dziobem krajała głębinę, tam pryskała w górę fala fosforycznymi iskrami, zasię za łodzią ciągnęła się długa bruzda, niby smuga żywego ognia.

Księżyc bladł, podnosząc się coraz wyżej nad morzem; kiedy odbije się tuż przed złotym gryfem, zdobiącym dziób łodzi, tedy królewicz pierścień swój w głąb ciśnie na znak wierności wiecznej żywiowości wody.

Nagle — czyli oczy myślą oczekujące na wybrzeżu tłumi? — Tuż przed łodzią ze spokojnej głębi powstaje nagle wielka, pierzasta, świecąca w sobie srebrem fala i wyciąga do królewicza dwie białe strugi pian, niby wabiące, śnieżyste ramiona.

Płynie od niej szum srebrny, przedziwna muzyka, jakby się nagle morze anielskimi harfami rozegrało.

Królewicz stoi zapatrzony i zasłuchany. Widzi go chwilę lud na tle wysokiej fali, jak posąg młodego boga w srebrnej wnęce świątyni.

Okrzyk grozy wydziera się ze wszystkich piersi.

Fala opada, wygarniając w siebie łódź, a w zamęcie srebrnej, śpiewającej piany lud Otoczy nic już dojrzeć ni dosłyszeć nie może.

Ale zaledwie znikła łódź królewicza pod falą, zakotłowało się morze i zmaściło ode dna, a olbrzymie wały wodne, fosforycznym płomieniem gorejące na grzbietach, jak zastęp potwornych smoków, runęły na wybrzeże Otoczy.

Zdawało się, że za jednym skokiem pochłoną całą wyspę. Lud, który nigdy dotąd wściekłości morza nie zaznał, porwał się do ucieczki, oszalały przestraczem.

Skamienieli rozpaczą rodzice królewicza sami tylko zostali na wybrzeżu; przełożyli bowiem raczej śmierć we wściekłych bałwanach nad osierocone i samotne życie.

Ale morze nie wzięło ich żywota.

Spiętrzone wały wodne, jak człowiek, co rozumem opanował wybuch ślepego gniewu, stanęły tylko chwilę niby ściana ognia wokół wyspy, a potem zwolniły pędu i upadły na wybrzeże zaledwie o piędziesiąt dalej, niżli w czasie codziennego przypływu.

Ale za to nie cofnęły się już wcale, i kiedy nowa fala przyszła zastąpić pierwszą, to posunęła się znów naprzód nieznanym prawie ale niecofnionym zalewem, tak, że o świcie woda doszła już do stóp owej skały, na której niegdyś stał podczas postrzyżyn królewicz, a teraz zrozpaczeni rodzice patrzyli w szalejące otchłanie.

Nie może pojąć lud tajemnicy, co nagle zaciężyła nad wyspą; nie może pojąć naglej niesprawiedliwości morza.

Teraz oto powrócił na brzeg, ochłonawszy z pierwszego przerażenia, i, skupiając się w małe gromadki, rozprawia.

Więc nie dość, że morze zabrało największe ukochanie ludowi, jeszcze za to mści się samo na wyspie?

Czyż skazało na nieubłaganą zatrutą obsypywaną niegdyś łaskami ulubienicę? I za co? Jaką zbrodnię popełniła? jakim świętokradztwem obraziła morze? Wszak składała wierne daniny, czciła każdy przypływ w pełni księżycowej i nie odmówiła nigdy żywiołowi wody żadnego z powinnych hołdów.

Coraz głośniejsze rozlegają się pytania i narzekania. Szukają winowajców.

Jedni dopatrują win w drugich, inni sami siebie oskarżają.

Aż oto głos zabrał jeden z zauszników królewskich i lud zdradliwie podburza:

— To wszystko czary królowej! Nie pożałowała nawet rodzzonego syna, ażeby wyspę zgubić. Widzicie — uśmiecha się teraz, patrząc w morze.

Istotnie na twarzy królowej wyblyskał nieprzytomny uśmiech, a wzrok stawał się pogodny i dziecinny.

Ludem przebiegł szmer niedowierzania i grozy:

— Czary...

Ale królowa zstąpiła ku nim ze skały i rzekła nagle:

— Nam się wydało, że królewicza zatopiła fala. Jego łódź zabłąkała się tylko i teraz trafić nie może do wyspy. Trzeba na najwyższym tarasie ogień rozpalić, aby z daleka widną się stała Otocza. Kiedy zobaczy ogień — powróci.

I zrozumieli wszyscy, że królowa zmysły straciła z bóleści, i żal wielki ogarnął ich serca.

Rozeszli się pośepnie do domów, a królowa, ogień swój rozpaliwszy, dnie i noce pędzić przy nim poczęła, wróżby przeróżne głosząc i ognia, niby kapłanka strzegąc.

Stary król sam tylko został na wybrzeżu.

I odtąd rzadko widywano go inaczej, jak zapatrzonogo w morze; jakby chciał nierozwiązaną tajemnicę wydrzeć wzburzonym oddechem.

Od tego dnia nie cofnęło się odpływem morze w krąg Otoczy.

Szło powolnym, ale niecofnionym zalewem, zabierając piędź po piędzi, zagon po zagonie, ale nie oddając już ani żdźbła z tego, co raz pokryło wzburzoną topielą.

A że zabierane tak, niskie wybrzeże Otoczy było jedyną żyzną na wyspie ziemią, więc choćby nawet morze nie posunęło się już dalej i oparło o pierwsze tylko stopnie skaliste, to i tak wyspa ginąć by musiała powoli; nie starczyłoby jej bowiem rzadkich na wyżynie pól ani paszy dla kóz, ani wina, ani owoców sadu.

Ale i tej zemsty nie dość było morzu.

Od owej nocy nie uspokoiło się ani na chwilę, i żaden statek nie zdołał wypłynąć na rozbujane bałwany. Łupiny łodzi rybaczych, co ośmieliły się wyruszyć z przystani, pochłonęła kolejno głębina. Kruszyła je o skały z głośnym, radosnym rykiem i pokrywała szumiącą topielą.

Pod słonecznym niebem, co nie zamąciło nad wyspą dawnej swej pogody, tem bardziej grozą przejmując mieszkańców ta burza, powstająca ode dna.

A tak zaciekla w każdej najmniejszej fali, że nawet u brzegu nie zdołał rybak niewodu nawiązać. Rwało morze wszystkie niewody i sieci, skąpiło ryb, nie wyrzucało na brzegi skarbów żadnych.

Niekiedy tylko wieszalo na skałach długie papirusy alg, zapisane żalobnie czarnymi znakami. Jakby przysyłało wyspie wypisany wyrok morza, którego jednak odczytać nie potrafiły oczy ludzkie.

Wyspa malała. Z dnia na dzień, z godziny na godzinę czuli mieszkańcy zacieśniający się wokół Otoczy pierścień spienionych bałwanów.

Próżno lud kłękał u brzegów, miesiącowi złotemu się modłać; próżno obiaty rzucał we wzburzone odmęty.

Jeden z panów Otoczy, za pozwoleniem królewskim, wieże żelazne wokół wyspy stawiać kazał i mur obronny kręgiem wznosić przed zaborem morza.

Ale gdy mur stanął już do połowy, wielka fala runęła nań i, zwaliwszy całą pracę ludzi, zabrała wodza i pracowników. Zaś zwłoki ich odrzuciła na brzegi Otoczy na znak, że nie przejednała się tym lupem.

Lud cały rozmyślał, jakby przebłagać morze.

Na tarasie prastarej świątyni Otoczy zasiadali co dnia kapłani, otoczeni rzeszą, i, modląc się, błagali o natchnienie, co czynić. Aż raz, gdy siedzieli tak na rozmyślaniu, stanęło pośród nich kilkoletnie dziecko. Poznali je wszyscy: był to mały pieśniarek sierota, którego ojciec zginął przy zalewie muru, a matka z rozpaczyci rzuciła się w morze.

Miał kędziory czarne jak noc i takież oczy wielkie, jakby wciąż za czymś tęskniące.

Smukły, jak drzewina leśna, w przepasanej złotą krajką szatce, niósł w ręku małą koralową luteńkę, sztucznie wyro-

bioną z widlastej gałęzi koralu, na której napięte złote struny brzęczały za każdym jego ruchem.

Staął śmiało w gronie starców i dostojników, i wdzięcznym głosem przemówił:

— Oddajcie morzu mnie i moją luteńkę.

Posypały się pytania i wykrzykniki:

— Kto cię przysła, dziecko? kto ci tak kazał mówić?

A mały strząsnął w tył czarne kędziory i odpowiedział:

— Sam przyszedłem.

— Czy rozumiesz co mówisz? Dlaczego chcesz, by cię oddano morzu?

— Żeby przeprosić morze.

Arcykapłan zbliżył się do dziecka.

— Skąd wiesz, że tak można przeprosić morze?

Mały począł tłumaczyć:

— Bo jak pytałem dawniej mamy, dlaczego ludzie płaczą, to mama powiedziała, że to morze na nich się gniewa. Więc pytałem mamy, jakby można przeprosić morze. A mama powiedziała, że trzeba by mu dać coś najdroższego. Potem, jak morze wzięło tatusia, to mama sama w morze skoczyła. Więc myślałem, że morze już się przestanie gniewać. Ale ludzie ciągle jeszcze płaczą. Więc chcę, żebyście teraz oddali morzu mnie i moją luteńkę.

— Ale dlaczego ciebie i luteńkę — pytał z rozrzewnieniem arcykapłan, głaszcząc kędziory dziecka.

A ono podniosło ku niemu swe wielkie, słodkie oczy, jakby zdziwione, że je o tak proste rzeczy pytają, i odpowiedziało spokojnie.

— Bo mamusia mnie zawsze mówiła, że jestem jej najdroższy, a ja nie mam nic droższego od tej luteńki.

Po rzeszach przeleciało wielkie westchnienie, nie wiadomo czy zgody, czy tylko wzruszenia, a arcykapłan podniósł ręce w górę i rzekł uroczyście:

— Nie może zginąć ziemia, co takie serca rodzi. Ufajmy bracia!

Ale w tłumie poczęły się wnet rozprawy i spory. Jedni uważali, iż los przez usta tego dziecka przemówił, i że należy spełnić jego żądanie. Inni, rozczuleni pięknnością i sercem małego, pragnęli życie jego dla przyszłości ocalić, aby wyrosło kiedyś ku ratunkowi Otoczy.

Niezgoda nie ustawała, aż arcykapłan zabrał głos znowu i rzekł:

— Zaprowadźmy dziecię do króla. Niech on sam osądzi, co czynić. I zaprowadzono dziecię przed oblicze królewskie.

Ale król, gdy usłyszał rzecz całą, przygarnął do piersi pacholątko, które mu ukochanego syna przypomniało, i zostawił je przy boku swoim, jako nadwornego pieśniarza.

— Zastąp mi syna, — rzekł dziecku, — i staraj się pieśnią pocieszać nas tymczasem, póki wyrósłszy ocalenia nie znajdziesz całej wyspie. A nie przestawaj ufać, że je znajdziesz, bowiem takie serce jak twoje zwycięża wszystkie przeszkody.

I mały został na dworze, nie odstępując ani na krok starego króla, który umiłował go jak dziecko własne i rozchmurzał zasępione oblicze, tylko słuchając jego wdzięcznych pieśni.

A że pociecha owa przybyła mu niespodzianie, jakoby od Boga zesłana, przeto przewał dziecię — Bożydarem.

II. DZIECKO MORZA.

Co dnia niezmiennie od dziesięciu lat zstępował stary król sam, z ulubionym tylko pacholęciem, po marmurowych stopniach zamkowego tarasu nad brzeg morza. Szedł pośród fantastycznych, koralowych kolumnad, aż ku górującej nad wybrzeżem skale, mającej kształt wyniosły królewskiego siedziska. Tu, daleki od oczu ludzkich, mając przed sobą bezmierną pustkę morza, siadał samotnie na skalnym siedzisku, — i patrzył. Pacholę opodał brząkało w złote struny, a on zdjawszy z głowy koronny kołpak królewski, poddawał siwe włosy wiatrom lejącym od morza.

I na tle szafirowych, spienionych fal, z swą siwą głową i w szafirowym płaszczu, zdawał się być sam uwieńczoną srebrem, zapomnianą przez morze falą, rzuconą na skaliste wybrzeże.

W samą nieprzebołąłą, dziesiątą już rocznicę straty syna siedział jak zwykle stary król na swym nadbrzeżnym siedzisku.

Wspomnienia naszły dziś na niego chmurą tak ciężką, że nie zdołał rozpędzić ich nawet śpiew ulubionego pieśniarka.